Rok XV. We Lwowie, dnia 29. listopada 1907. Nr. 48.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 11 Kor. półroczna . 6 „ kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Encyklika Ojca św. Piusa X. o doktrynie modernistów.

(Ciąg dalszy.)

c) Konsekwencya: fałszywe pojmowanie historyi religii.

W całym tym jednak procesie, któremu według modernistów wiara i Objawienie zawdzięczają swoje powstanie, trzeba zwrócić uwagę szczególnie na jedną rzecz niemałej doniosłości z powodu konsekwencyi historyczno-krytycznych, które oni z niej wysnuwają:

Owo »Niepoznawalne[1]), o którem mówią, nie staje przed wiarą nie osłonięte i odosobnione; ale przeciwnie ono tkwi w jakiemś zjawisku, które, chociaż należy do dziedziny nauki ścisłej albo historyi, to przecież pod pewnym względem przekracza tę dziedzinę; są to albo zjawiska przyrody, zawierające w sobie coś tajemniczego, albo też jakiś człowiek, którego przymioty duchowe, czyny i słowa nie dadzą się pogodzić ze zwyczajnemi prawami historyi. Natenczas wiara, pociągnięta przez owo »Niepoznawalne«, które złączone jest ze zjawiskiem, obejmuje całe to zjawisko i przenika je niejako swojem życiem. Z tego zaś wynikają dwa następstwa. Pierwszem jest pewnego rodzaju *przekształcenie* zjawiska, które wiara wywyższa po nad jego warunki rzeczywiste, ażeby się stało materyą bardziej podatną dla formy Boskiej, którą mu wiara chce nadać[1]). Drugiem następstwem jest, że zjawisku odbiera się poniekąd właściwą jego postać, ponieważ wiara wynosi je po nad czas i miejsce, i przypisuje mu znamiona, których ono nie posiada w rzeczywistości. Dzieje się to szczególnie ze zjawiskami z czasów przeszłych, a dzieje się w tem większej mierze, im dawniejsze to są czasy.

A dalej z dwóch tych konsekwencyi wysnuwają moderniści dwa swoje »prawa«, które razem z pierwszem podyktowanem przez agnostycyzm, są dla nich podstawą krytyki historycznej.

Wyjaśnijmy to na przykładzie a mianowicie na Osobie Chrystusa. W Osobie Chrystusa, mówią, nie znajduje nauka ścisła i historya nic innego jak tylko człowieka. A więc na mocy pierwszego prawa, wysnutego z agnostycyzmu, trzeba z Jego historyi wyeliminować wszystko, co ma charakter Boskości. Dalej, na mocy drugiego prawa, Osoba historyczna Chrystusa »przekształcona jest przez wiarę«: więc trzeba Jej odjąć wszystko, co Ją wznosi po nad warunki historyczne. A wreszcie, na mocy prawa trzeciego, tej samej Osobie Chrystusa odebrana jest przez wiarę właściwa Jej postać: a więc trzeba z Jego historyi usunąć mowy, czyny, jednem słowem, wszystko, co nie zgadza się wcale z Jego przymiotami duchowymi, z Jego stanem, Jego wychowaniem, z miejscem i czasem, w których On żył. — Szczególne to jest, co prawda, rozumowanie, ale taką już jest krytyka modernistów.

Religijne więc *uczucie*, które przez *immanencyę życiową* wydobywa się z tajników *podświadomości*, jest zarodkiem całej religii a zarazem racyą

[1]) Filozofowie, używający tego wyrazu, dzielą się na dwie grupy: jedni, jak Hamilton i Mansel, mówiąc o »niepoznawalnem«, mają na myśli tylko fakt, że są rzeczy dla badań naszych niedostępne, o których więc nic nie możemy powiedzieć; dla nich więc jest to pojęcie czysto negatywne. Drudzy, jak Spencer, używają tego wyrazu o potędze, będącej pierwotną przyczyną wszechrzeczy, istniejącej więc rzeczywiście po za zjawiskami i czczonej przez wszystkie religie pod nazwą Bóstwa. — Kiedy jednak trzeźwa filozofia odróżnia ściśle Boga od stworzeń, wydaje się mistykom, że poznają Go bezpośrednio sposobem »intuicyjnym« w samych stworzeniach, mających w sobie coś zagadkowego czyli jakiś pierwiastek »niepoznawalny«. Jest to urojenie, które usuwa się z pod kontroli rozumu a prowadzi do innych najdziwniejszych i oczywistych błędów. Przyp. tłum.

[1]) Chcąc dobrze zdanie to zrozumieć, trzeba sobie przypomnieć, co znaczą w filozofii scholastycznej wyrazy: materya i forma. »Forma« jest owym pierwiastkiem idealnym, który każdej rzeczy nadaje właściwą jej postać i bez którego żaden twór przyrody nie mógłby być tem, czem jest. Ciało np. ludzkie zawdzięcza swoje istnienie jako ustrój żyjący duszy, która nazywa się jego »formą«. Wyrażenie więc: »nadaje zjawisku formę Boską« znaczy tyle, co »upatruje w niem Objawienie się potęgi Boskiej«. Przyp. tłum.

wszystkiego, co w każdej religii było lub będzie. U c z u c i e to, z początku surowe i prawie bezkształtne, rozwinęło się powoli a mianowicie pod wpływem owego utajonego pierwiastka, z którego powstało, rozwinęło się wraz z postępem życia ludzkiego, którego, jak powiedzieliśmy, jest ono pewną formą. Mamy więc źródło wszelkiej religii, chociażby nadprzyrodzonej: one są bowiem tylko rozwinięciem »uczucia religijnego«. A niech nikt nie sądzi, że religia katolicka stanowi wyjątek; owszem ona stoi na równi ze wszystkiemi innemi: ona bowiem zrodziła się w świadomości Chrystusa, męża, posiadającego pierwszorzędne przymioty, jakich nikt nie miał przed Nim ani mieć nie będzie, — a zrodziła się nie inaczej, jak tylko przez proces »immanencyi życiowej«.

Zdumienie zaprawdę ogarnia tych, którzy to słyszą, wobec twierdzeń tak zuchwałych i takiego bluźnierstwa! A przecież nie są to tylko nierozważne pomysły ludzi nie wierzących. To wypowiadają publicznie katolicy, a nawet i wielu kapłanów — i chełpią się, że przez takie urojenia zreformują Kościół!

Niema tu już mowy o owym dawnym błędzie, który polegał na tem, że naturze ludzkiej przypisywano niejakie prawo do porządku nadprzyrodzonego. Posunięto się o wiele dalej: twierdzą bowiem, że najświętsza religia nasza zarówno w człowieku Chrystusie, jak i w nas, powstała sama z siebie jako dzieło natury. To zaś musi prowadzić do zaprzeczenia wszelkiego porządku nadprzyrodzonego. Dlatego słusznie orzekł Sobór Watykański: »ktoby twierdził, że człowiek nie może być przez Boga wzniesiony do takiego poznania i takiej doskonałości, które przewyższają naturę, ale może i powinien sam przez się, przez ciągły postęp dojść do posiadania wszelkiej prawdy i wszelkiego dobra, niech będzie wyklęty« (De Revel. can. III.).

d) Jak powstają dogmaty?

Dotąd jednak nie mówiliśmy, Czcigodni Bracia, o zadaniu, jakie tu przypada rozumowi. Otóż i on ma według modernistów udział w akcie wiary a warto zobaczyć, jaki. Mówią oni, że w owem u c z u c i u, — jak je nazwaliśmy już kilkakrotnie, bo jest to u c z u c i e, nie p o z n a n i e, — Bóg objawia się wprawdzie człowiekowi, ale tak niejasno i niewyraźnie, że mała jest różnica albo niema żadnej pomiędzy Nim a podmiotem wierzącym. A więc jakieś światło musi rzucić swe promienie w ciemności uczucia, żebyśmy mogli w uczuciu tem rozpoznać Boga. Otóż rozumu właśnie jest rzeczą myśleć i analizować; on to rozróżnia zjawiska życiowe, powstające w człowieku i tworzy z nich najpierw wyobrażenia, które potem oznacza słowami. Stąd utarty frazes modernistów: »człowiek religijny powinien wiarą swą m y ś l e ć«.

Myśl zatem, kojarząca się z owem uczuciem, przechyla się niejako nad niem i pracuje, podobnie jak malarz, który w jakimś starym obrazie uwydatnia zatarte linie rysunku: tak mniej więcej wyjaśnia rzecz pewien doktor modernistów. W tej zaś czynności wykonywa umysł pracę podwójną: jest to najpierw akt naturalny i samorzutny, a wtedy wyraża rozum rzecz zdaniem prostem i pospolitem; potem jednak następuje refleksya głębsza, czyli, jak oni mówią, »opracowanie myśli« a wtenczas wypowiada się te myśli w zdaniach »pochodnych«, które są wprawdzie wysnute z owego zdania prostego, ale są już subtelniejsze i wyraźniejsze. Te zdania »pochodne« staną się dogmatami, skoro je zatwierdzi najwyższy urząd nauczycielski Kościoła.

Tak więc doszliśmy do jednego z głównych punktów w nauce modernistów, tj. do początku dogmatu i tegoż natury. Początek bowiem dogmatu upatrują oni w owych prostych formułach pierwotnych, które pod pewnym względem są dla wiary konieczne, bo Objawienie nie może się urzeczywistnić, jeżeli świadomość nie pozna wyraźnie Boga. Sam jednak dogmat zawierają według nich, jak się zdaje, tylko formuły »pochodne«.

Chcąc dalej poznać tegoż naturę, musimy zbadać przedewszystkiem, jaki zachodzi stosunek pomiędzy »f o r m u ł a m i r e l i g i j n e m i« a »u c z u c i e m r e l i g i j n e m«. To zaś łatwo wykryje, kto pamięta, że jedynym celem tych formuł jest dostarczenie wierzącemu jakiegoś środka, z którego pomocą mógłby zdać sobie sprawę ze swej wiary. Pośredniczą więc one pomiędzy wierzącym a jego wiarą: ale co się tyczy wiary, są one wyrażeniami, które niedokładnie tylko oznaczają jej przedmiot (nazywają je powszechnie »s y m b o l a m i«); ze względu zaś na wierzącego są one jedynie »n a r z ę d z i a m i«. — Dlatego nie mogą one w żaden sposób zawierać prawdy bezwzględnej: bo jako s y m b o l e są one obrazami prawdy, a przeto muszą przystosowywać się do uczucia religijnego, o ile to oddziaływa na człowieka; — jako n a r z ę d z i a są one środkami do wyrażenia prawdy, które nawzajem muszą się przystosowywać do człowieka, tj. do jego zachowania się wobec uczucia religijnego.[1]) Ponieważ zaś absolut,[2]) który jest przedmiotem tego uczucia, może objawiać się w nieskończenie wielu różnych postaciach, raz w jednej, drugi raz w innej, — a podobnie i człowiek wierzący może znajdować się w różnych warunkach, — więc i formuły, które nazywamy dogmatami, muszą podlegać tej samej zmienności i nie mogą być zawsze jednakowe. Tym zaś sposobem utorowano drogę do wewnętrznej »e w o l u c y i« dogmatu.

Jest to zaprawdę rój niezliczony sofizmatów, który wszelką religię burzy i niweczy!

A przecież moderniści głośno zapewniają, że dogmat nie tylko może, ale i powinien rozwijać się i zmieniać; jest to też konsekwencya, wynikająca niewątpliwie z ich założeń. Jednym bowiem z głównych punktów ich nauki jest ten (który wywodzą z zasady »immanencyi życiowej«): jeżeli »formuły religijne«, mają być naprawdę »religijne-

---

[1]) Ustęp ten jest trudny do zrozumienia i przetłumaczenia. W oryginale czytamy: »sensui religioso accomodandae, p r o u t h i c a d h o m i n e m r e f e r t u r; qua instrumenta, sunt veritatis vehicula, atque ideo accomandanda vicissim homini, p r o u t r e f e r t u r a d r e l i g i o s u m s e n s u m«. Zdania te muszą być wyjęte z nieznanych mi dzieł modernistycznych, wyłuszczających ten pogląd mglisty i fantastyczny. Przyp. tłum.

[2]) Wyraz »absolut« tj. »byt bezwzględny« czyli »niezawisły« od nikogo, wprowadził do filozofii Schelling; jest to właśnie ów »niepoznawalny« początek wszechrzeczy, nazywany Bogiem. »Absolut« Schellinga jest zarazem duchem i naturą podobnie jak »Bóg« Spinozy. Przyp. tłum.

mi«, a nie tylko płodami refleksyi, muszą być żywotne i żyć życiem uczucia religijnego. Nie trzeba tego rozumieć w ten sposób, jakoby owe formuły — a zwłaszcza stworzone przez samą tylko wyobraźnię — były wymyślone dla samego uczucia religijnego; — nie rozchodzi się tu bowiem bardzo o ich początek, ani o ich liczbę lub jakość: — ale słowa powyższe znaczą, że uczucie religijne ma sobie przyswajać »żywotnie« owe formuły, dokonawszy w nich, w razie potrzeby, pewnej zmiany. Czyli innemi słowy: serce musi przyjąć i zatwierdzić »formułę pierwotną«; serce też ma kierować pracą, która wytwarza »formuły pochodne«. Stąd wynika, że formuły te, jeżeli mają być żywotne, powinny być i pozostać przystosowane zarówno do wiary jak i do wierzącego. Jeżeli więc to przystosowanie ustaje z jakiejkolwiek przyczyny, tracą one sens swój pierwotny i wymagają zmiany.

Nie można się dziwić, że te formuły dogmatyczne, tak zmienne i tak mało posiadające znaczenia w oczach modernistów, są dla nich przedmiotem szyderstwa i pogardy i że natomiast o niczem innem nie mówią, nic innego nie wysławiają, jak tylko uczucie religijne i życie religijne. Dlatego też z największą zuchwałością zarzucają Kościołowi, że wszedł na drogę błędną, ponieważ nie umie, jak mówią, odróżnić sensu religijnego i moralnego formuł od dosłownego ich znaczenia a trzymając się formuł bez treści uparcie i z daremnym wysiłkiem, zezwala na upadek samej religii! — »Ślepi« to są i »wodzowie ślepych«, którzy pysząc się rzekomą swoją umiejętnością, posuwają się do takiego szaleństwa, że wywracają odwieczne pojęcia prawdy i religii, wymyśliwszy system nowy, »w którym, odrzucając wszelkie wędzidła w swojem pożądaniu nowostek, nie szukają prawdy tam, gdzie ona jest z pewnością, ale wzgardziwszy tradycyami świętemi i apostolskiemi, chwytają się innych doktryn bezpodstawnych, niepewnych i nie aprobowanych przez Kościół, które mają prawdę samą, według mniemania tych ludzi w najwyższym stopniu próżnych podpierać i uzasadniać«. (Gregor. XVI. Ep. Encycl. »Singulari Nos« 7 cal. iul. 1834). (C. d. n.)

Jak ratować młodzież od rozpusty?

(Dokończenie).

Żeby żywe słowo katechety oddziałało skutecznie na młodzież, musi, rzecz oczywista, sam cnotę umiłować: »Non parit virgines sacras, nisi virgo sacra«, powiedział św. Augustyn (de Virg.); tylko sercem czystem można pozyskiwać dusze czyste. Duch Boży nie obiera sobie zmysłowego człowieka za krzewiciela swej woli: »*Te ipsum castum custodi*«, pisał Paweł św. do ukochanego ucznia Tymoteusza (I. Tym. 5. 22).

To samo przypomina Bóg katechecie. Zbawiciel powiedział wobec ducha nieczystego: *„hoc genus in nullo potest exire, nisi in oratione et jejunio"* (Mar. 9. 28), a tem podał dwa miecze w rękę szermierzowi w obronie najwznioślejszej cnoty, — zażądał modlitwy i wstrzemięźliwości.

Obok nauczania trzeba młodzież ratować częstą spowiedzią i komunią św. Jest to według zdania św. Filipa Nereusza, znanego przyjaciela i wychowawcy młodzieży, obok nabożeństwa do Matki Boskiej, jedyny środek zachowania czystości w duszach młodzieńczych.

Ale nie dość o tem wiedzieć, nie dość powtarzać to młodzieży przy każdej sposobności — trzeba młodzież praktycznie do częstej spowiedzi i komunii zaprawiać, trzeba jej tę praktykę ułatwiać.

Dawno pomyśleli o tem biskupi niemieccy i tam, w protestanckiem państwie, po dziś dzień nawet, w gimnazyach rządowych, młodzież uczęszcza do spowiedzi co miesiąc, w niektórych dyecezyach co 6 tygodni.

Inaczej jest w »katolickiej« Austryi!

Jakże nam trudno dziś namówić młodzież do częstej spowiedzi — prócz trzykrotnej obowiązkowej! Ile to trzeba wysiłków ze strony katechety, rodziców i spowiednika, tem bardziej, że nawet i przeciw obecnej praktyce już dyabeł agituje, bo i ona jest mu »za częstą«.

A jednak częsta spowiedź i komunia św. jest dla większej części młodzieży środkiem nieodzownym do wytrwania w cnocie.

Należy więc wszelkiemi siłami dążyć do tego celu. Naprzód tę obecną trzykrotną spowiedź urządzać jak najlepiej i najpraktyczniej. Wobec olbrzymiej liczby uczniów w szkołach średnich wypadałoby ich dzielić na 2 partye, bodaj na początku i na końcu roku szkolnego, bo na Wielkanoc idą do spowiedzi przez rekolekcye lepiej przygotowani i z powodu wspólnych rekolekcyi muszą się zresztą razem spowiadać.

Prawda, że z takiem dzieleniem na 2 partye są złączone wielkie kłopoty — najgorszem z nich jest niezadowolenie i szemranie samych księży: po co to? czy to potrzebne? Ale wtedy młodzież daleko lepiej mogłaby się wyspowiadać i wykomunikować i co najważniejsza, nabrałaby może ochoty do częstszej spowiedzi i komunii.

Dziś ta spowiedź uczniów »po ukazu« ma dużo podobieństwa do spowiedzi żołnierzy, odprawia się zanadto szablonowo, »fabrycznie«, »koszarowo«!

Ale zanim innowacye tego rodzaju będą uznane za potrzebne i słuszne, niechże przynajmniej ta spowiedź, jaka jest, ulegnie pewnym możliwym do wykonania zmianom.

Niech kościoły, w których ona się odbywa, mają większą ilość konfesyonałów lub choćby kratek przenośnych, bo młodzież, szczególnie starsza, nie lubi się spowiadać bez zasłony, księdzu w twarz i brać jej tego za złe nie można. Niech spowiednicy kierują się w konfesyonale wobec młodzieży, oddanej rozpuście, jednolitą normą postępowania, niech żądają od niej spowiedzi co miesięcznej, niech się porozumią w tej sprawie — niech się naradzą, jakieby w takich wypadkach pokuty zadawać i tp. Jak to bolesne spotkać ucznia, oddanego nałogowo onanii od lat kilku, który na zapytanie, czy mu kiedy spowiednik nie nakazywał częściej się spowiadać, odpowiada: nie! »Hominem non habuit«.

Także narady księży w sprawie słuchania spowiedzi uczniów w miastach, gdzie jest większa ilość szkół, bardzo by się przydały.

Wobec dziwnej jednak podejrzliwości niektórych księży byłoby wskazanem (ut minus sapiens dico), aby impuls do tych zebrań wyszedł od władzy duchownej.

Zdarzyć się bowiem może (jak to było przed kilku laty w Krakowie), że gdy katecheci sami urządzają takie zebranie i zaproszą na nie księży zakonników, to urośnie z tego brzydka plotka w sferach duchowieństwa zakonnego, że katecheci uważają zakonników za niezdolnych do słuchania spowiedzi uczniów.

Istnieją po szkołach tu i ówdzie pobożne stowarzyszenia, n. p. żywy Różaniec lub sodalicye maryańskie. Dotychczas uważano je wprawdzie za nielegalne w pewnych sferach nauczycielskich, ale odkąd, bez zmiany zasadniczych przepisów dla młodzieży szkolnej, pozwolono w szkołach na zakładanie różnych »kółek etycznych«, «czytelń« i »organizacyi« — na sodalicye powinni również zgodzić się dotychczasowi ich przeciwnicy.

Należałoby tych stowarzyszeń użyć jako środka do zachęcania młodzieży do spowiedzi miesięcznej, co zresztą w sodalicyi Maryańskiej zwyczajnie się praktykuje.

Dobrzeby też było nietylko doradzać młodzieży częstszą spowiedź, ale ułatwić jej odbywanie w ten sposób, aby jej wskazać czas i miejsce, gdzie może się częściej spowiadać.

Nie brak wprawdzie po miastach kościołów i księży, ale trzeba się z tem liczyć, że młodzież, szczególnie męska, szukać spowiednika i czekać na spowiedź nie lubi.

Wypada więc wybrać dla niej jeden kościół w większych miastach i uprosić księży, którzyby co sobotę wieczorem o oznaczonych godzinach byli w konfesyonale na usługi młodzieży; — w mniejszych miastach, tam, gdzie kościołów mniej, lub jeden tylko, należałoby również zaradzić tej potrzebie w ten sposób, aby jeden przynajmniej z księży, uczniom mniej znany, co sobotę zasiadał w pewnym konfesyonale specyalnie w celu słuchania spowiedzi uczniów.

Może komuś wyda się ten projekt zbytniem faworyzowaniem młodzieży szkolnej, a jednak zdaje mi się, że ona jest naprawdę źrenicą oka narodu i Kościoła, bo od niej przecież przyszłość jednego i drugiego zależy. Młodzież zresztą — to zapaśnicy, to szermierze, staczający bój najcięższy z wrogami zbawienia; jej szczególnej pomocy, opieki i współczucia potrzeba.

Gdzieindziej, wobec bezreligijności szkół rządowych, zdobyli się przecież katolicy, szczególnie duchowni, na większą jeszcze ofiarę, tworząc mnóstwo szkół średnich prywatnych, katolickich, do czego może i u nas kiedyś przyjść musi, jeżeli stosunki szkolne coraz będą gorsze.

Zresztą praktyka, o którą chodzi, istnieje już tu i ówdzie, n. p. w Tarnowie, gdzie każdej soboty spowiadają księża uczniów w oznaczonym kościele, w czem sam Arcypasterz dyecezyi świeci im zachętą i przykładem.

Mogłaby także w walce z rozpustą młodzieży coś pomódz dobra książka, dana młodzieży do ręki, szczególnie starszej, wykazująca jej możliwość i zacność cnoty czystości — a zarazem szkody, wynikające z grzechów jej przeciwnych.

Ale gdzież są takie książki i broszury w polskim języku? Przyznam się, że z ascetycznych znam tylko jedną p. t. »Perła cnót« (wedle O. v. Dossa, opracował ks. Augustyn Arndt Kraków, 1888). Jest to dziełko nie wielkie, ale miłe, pełne głębokich myśli i pięknych przykładów. Inne n. p. »Matki i synowie« przez E. Hopkins w przekładzie Izy Rzepeckiej, Warszawa 1906, »Hygiena skromności« Dr. Korniga w przekładzie Dra Fabiana, Warszawa 1894, »Śmiertelność i choroby jako skutek rozwiązłego życia« prof. E. Wyrobka Kraków, 1907, można również podać młodzieży, ale chyba w najwyższych klasach szkół średnich, bo są pisane dla dojrzalszych.[1])

Pośrednio mogą się przyczynić do osiągnięcia tego samego celu inne także dzieła religijno-moralne dla młodzieży, ogólniejszej treści, mające na celu ratować jej wiarę i uczciwość.

Do nich w pierwszym rzędzie zaliczam: »List do młodzieży szkół średnich« JE. X. Arcybiskupa Bilczewskiego, »Na przełomie« (Warszawa 1905) w II. częściach, i »Drogowskazy« ks. A. Podwina (Kraków 1907).

Niestety poczet dzieł tego rodzaju bardzo w naszem piśmiennictwie niewielki. I tu znowu — ut minus sapiens dico — brak w tym względzie wspólnych usiłowań katechetów, brak konkursów na dzieła tego rodzaju, brak ich skatalogowania etc. etc.

Prawda, że młodzież nasza nie jest skorą do lektury tego rodzaju i nie wiedzieć, kiedy właściwie pora na takie książki — w niższych klasach zawcześnie, w wyższych dla niejednego już zapóźno... Prawda też, że o nabycie książek tego rodzaju dla bibliotek trudno, katecheta zaś przy wypożyczaniu narażony bywa, prócz kosztów i fatygi, na długie przetrzymywanie, a nawet gubienie takich książek. Prawda, że za usługę i gorliwość swoją zamiast uznania ściągnie sobie łatwo ze strony samej nawet młodzieży przydomek fanatyka.

Ale trudno; róbmy, co możemy. Nie ocenią ludzie, to Bóg oceni i nawet dobrą wolę przyjmie za czyny w razie, gdy mimo najlepszych chęci wiele zrobić nie można.

Nikt się też z nas nie łudzi, że rozpustę będzie można kiedykolwiek z gruntu wśród młodzieży wyplewić, jak nam to z przekąsem zarzucają niektórzy. Nikt sobie z nas nie obiecuje, że przemieni ludzi w aniołów. Ale przecież coś da się zrobić dla ochronienia młodzieży od wielu wybryków i nieszczęść, jakie ściąga na nią rozpusta.

Trzeba nam więc korzystać z wszelkich środków możliwych, jakie mamy do rozporządzenia, byśmy schodząc kiedyś z pola walki, nie mieli sobie nic do wyrzucenia.

X. Mateusz Jeż.

30 tysięcy Polaków katolików w Budapeszcie.

Piękny, bogaty kraj węgierski nie był nigdy dla nas obojętnym. Od czasów św. Wojciecha, wspólnego Apostoła, a więcej jeszcze od czasów św. Kingi zespoiliśmy się i pokumali z narodem węgierskim. Stamtąd czerpaliśmy niejednokrotnie pomoc materyalną. Św. Kinga bogaci Polskę posagiem węgierskim, znajduje ratunek i pomoc w opłakanych czasach wojen z Tatarami.

Po rozbiorze Polski, a więcej jeszcze po nieudałych

[1]) Dobrą jest także broszura Dra P. Good'a p. n. »Hygiena i moralność« (Lwów, 1907). Przyp. red.

powstaniach wzmógł się żywioł polski na Węgrzech. W czasach największego zaniedbania i ucisku Galicyi, w czasach wielkich głodów, o jakich starzy pradziadkowie opowiadają, ludność podkarpacka żywiła się tylko okruchami chleba węgierskiego. Żyją jeszcze starcy, którzy przebijali się przez góry do Koszyc — Preszburga, by zakupić kukurydzy lub zboża, którem żywili się przez drogę, mieląc je w zębach.

Znamy też kapłanów i mężów zasłużonych, którzy na Węgry uciekali szukać oświaty, często zmuszeni uciekać z Galicyi przed nagonką do wojska.

Trzeba przyznać również, że Węgrzy okazywali się zawsze gościnnymi, wyrozumiałymi i zostawiali zawsze Polakom swobodę w swym kraju. Znani mi młodzieńcy opowiadali, że kiedy w Peszcie ćwiczenia wojskowe odbywali, czas ten przeleciał im prędko i przyjemnie. Nie zaznali najmniejszej przykrości od przełożonych, ani od kolegów Węgrów. Owszem traktowano ich o wiele lepiej i więcej po ludzku niż w kraju własnym; koledzy węgierscy byli uprzejmi, nawet usłużni, czego w Galicyi nie zaznali między swoimi; słyszeli tam często piosnki pochlebne o Polakach, z czego się nie mało cieszyli; i my przecież mamy piosnkę głoszącą, że »Węgier Polak dwa bratanki«.

Jak dawniej chleb, tak do najnowszych czasów znajduje uboga ludność podkarpacka pieniądz na Węgrzech przez lepsze zarobki. Dlatego zanim zbliżyła się Ameryka, ludność powiatów: nowotarskiego, sandeckiego, jasielskiego itd. tylko z Węgier grosz do kraju przynosiła i nim oganiała się biedzie. Tak się też przyzwyczaiła wędrować do Węgier, że i dziś, gdy tego mniej zachodzi potrzeba, bo i w kraju już są niezłe zarobki i chleb łatwo przytransportować, nie da się odciągnąć od Węgier. W samym Budapeszcie jest około 30.000 Polaków, przeważnie robotników z zachodnich powiatów Galicyi, a między tymi 20 tysięcy katolików praktykujących. Najwięcej zapędził ich tam rok 1904, który nam przyniósł straszną klęskę posuchy i ludność podkarpacką pozbawił chleba, bydła, trzody. Nie brakuje też Polaków w całych północnych Węgrzech, gdzie czeladź, pastuchy przeważnie rekrutują się z Polaków: »Dla chleba, bracie, dla chleba i góry porzucić trzeba«!

Po roku 1904. parafie podgórskie tak się przerzedziły wskutek wychodźtwa, że kościoły, zwyczajnie za ciasne dla ludności, świeciły pustkami.

Wędrówki te do Węgier dają się dziś bardzo odczuć urzędom parafialnym, gminom, starostwom, bo te są zarzucane metrykami urodzonych, zmarłych, zaślubionych na Węgrzech, co równa się przeciętnej liczbie w wioskach parafii.

Nadto niema roku, żeby gminy nie potrzebowały albo płacić kosztów szpitalnych za swoich ludzi, albo utrzymywać sierot po zmarłych na Węgrzech, lub przyjmować odesłanych przymusem i zwyrodniałych jednostek. To wszystko przekonywa nas, że kwestya robotników naszych na Węgrzech staje się coraz więcej aktualną i dosyć ważną, by na nią zwróciło baczne oko społeczeństwo polskie. Zauważyliśmy nadto, że każdy, kto powraca z Budapesztu, przynosi niestety zaród choroby — staje się niezdatnym już do pracy w kraju i wkrótce ginie na suchoty, zarażając jeszcze innych. To spowodowało księży proboszczów, że zaczęli skierowywać wychodztwo ku Ameryce, gdzie warunki są o wiele lepsze pod każdym względem dla polskiego robotnika. Mimo tego jednak i wychodztwo do Budapesztu nie ustało, bo: »poszli drudzy, pójdę i ja«.

Znaczna liczba mych parafian, ich stosunki małżeńskie, ich kłopoty familijne sprowadziły i mnie do Budapesztu z końcem września b. r., czego nie żałuję bynajmniej, — owszem pobyt w Budapeszcie do najprzyjemniejszych chwil tego roku zaliczam.

Ponieważ los tak wielkiej liczby Polaków w Peszcie nikomu nie może być obojętny, przeto na życzenie niektórych współbraci, postanowiłem podzielić się swojemi spostrzeżeniami w Budapeszcie z szan. Czytelnikami Gaz. Kościelnej.

Zawiadomieni o mem przybyciu, zgromadzili się na dworcu kolejowym dla powitania mnie znajomi i nieznajomi, którzy oświadczyli, że jedną tu w Peszcie stanowią rodzinę polską i serdeczną radością przejęci są na widok polskiego księdza. Udzielili mi potrzebnych informacyi, towarzyszyli mi przy zwiedzaniu mieszkań robotników polskich. Wszystkich zwiedzić nie mogłem; ale przynajmniej zwiedziłem jedną ulicę, w której najwięcej polskich robotników mieszka: »Swetynay utcza«. Jest to po naszemu »żydowska ulica«, brudna, błotnista, składająca się z domów żydowskich. Jeden z robotników, żonaty, najmuje pokój i kuchnię i przyjmuje innych na mieszkanie. Tym żona jego gotuje, co sobie który wyda, mieszkają wspólnie po 8—10. Jedni śpią we dnie, drudzy w nocy, według tego, czy nocną czy dzienną mają służbę we fabryce. Pracują po 12 godzin t. j. od 6—6. Mieszkania, »cembry« są bardzo drogie, a czynsze idą w górę z każdym rokiem: n. p. w tym roku za takie samo mieszkanie płaci się o 60 koron więcej niż roku zeszłego. Drogie są także wiktuały. Każdy kupuje co innego do gotowania, przez co i gospodyni domu ma dużo kłopotu. Zarobek zaś jest ten sam: zwyczajnie 3 korony za 12 godzin. Jeżeli się obliczy: mieszkanie, wikt, tytoń, czasem i wódkę na przepłukanie gardła, to nietylko robotnik nic nie złoży na czarną godzinę, ale nawet nie ubierze się odpowiednio do pór roku, lub głodem przymierać musi. Niektórzy tylko, umiejący pisać i mówić po madziarsku, mają płacę większą.

Praca robotników naszych, to praca przeważnie w młynach węgierskich i fabrykach krochmalu, to jest tam, gdzie z powodu kurzu robotnik węgierski za żadną cenę pracować nie będzie. Zboże np. przychodzi okrętami Dunajem, gdzie łatwo zawilgnie i wystawione jest na zepsucie i robaki wszelakie. Ochraniają je przez posypywanie wapnem i siarką, wskutek czego przy nasypywaniu, szuflowaniu, powstaje taki kurz, że jeden drugiego nie widzi o parę kroków. Nie lepiej wychodzą robotnicy nasi przy cegielniach na Steinbruchu, gdzie również otrzymują po 3 korony; tam często zaziębiają się lub »tężec« ich zabija, kiedy mikroby gliniane dostaną się do krwi przez ranę w nodze lub ręce.

Rozmawiałem z pewnym dyrektorem fabryki na temat nizkiej płacy naszych robotników; powiedział mi, że chętnie płaciłby więcej, gdyby ci robotnicy byli zdolniejsi,

mocniejsi i rzetelniejsi. Zwyczajnie nie mogą na nich liczyć, bo ten i ów albo ucieknie, albo zachoruje, albo w kozie siedzi! Z tego powodu muszą innych utrzymywać na ich koszt w rezerwie! Robotnicy we młynach próbowali przez strajk osięgnąć większą płacę. Socyaliści wywołali go zeszłego roku, ale po paru tygodniach musiał się skończyć. Skutek był ten, że robotnicy nie mieli co jeść i powrócili do tych samych robót bez podniesienia płacy. Wydało się później i udowodniono, że herszty socyalistów żydki, wzięli gruby pieniądz od młynarzy austryackich, którzy przez strajk chcieli młynom węgierskim popsuć interesy, odbić odbiorców, co się im też udało. Pokazuje się i tutaj piękna robota socyalistów!

Jeżeli zatem zważymy bardzo ciężkie warunki, w jakich ludzie nasi tam pracują, przepełnienie mieszkań i wilgoć, niezdrowe wiktuały, nienaturalny tryb życia, brak światła, słońca w mieszkaniach i fabrykach i t. d. to nie zdziwimy się wcale, że owe Jaśki, Józki, Kaśki, w kraju na roli zwinni, rumiani, zdrowi, silni — wyglądają w Budapeszcie jak kościotrupy, bladzi, słabi, niewyspani, oko mdłe, nogi chwiejne i trudno poznać, że to ci sami! Wiedzą oni, że źle z nimi, że lepiejby było wrócić do kraju i służbę podjąć na nowo, ale toby był »nie— honor«. Trudna to dla nich rzecz zmienić miasto na wieś, wolność na służbę i poddaństwo. Dlatego godzą się z losem, przywykają do tego życia, a zbyt daleko w przyszłość nie patrzą. Wielu z nich nie wie, że i u nas tymczasem stosunki się zmieniły, że i u nas nie brak lepszych zarobków i u nas podrożała służba, podrożał robotnik. Dlatego gdy im opowiadałem o tej zmianie, gdy wykazywałem, że powinniby wrócić do kraju, słuchali ciekawie. Wielu było gotowych zaraz to uczynić, gdyby nie obawa, że w kraju będą wszyscy na nich »ziorać«, palcem pokazywać: »Ot peszciok«!

Lecz może za dużo się rozpisałem o materyalnych stosunkach tych robotników, bo wszakże czytelnikom Gazety Kościelnej więcej o co innego się rozchodzi, bo o stronę religijno-moralną.

Ta też strona i mnie najbardziej zajmuje. O ile w trzech dniach mogłem ją zbadać, lepiej się przedstawia niż przypuszczałem.

Robotnicy nasi nie zaniedbują praktyk religijnych w Budapeszcie. Mają też dobry przykład od katolików węgierskich, którzy licznie gromadzą się w kościołach, licznie do Sakramentów św. przystępują. W kościele OO. Jezuitów widziałem wszystkie konfesyonały oblężone w dzień powszedni przez inteligencyę węgierską.

W niedzielę widziałem wszystkie kościoły pełne i lud pobożnie modlący się i śpiewający. (Dok. nast.)

X. Pankracy.

William James o nieśmiertelności duszy.

Piękną fundacyę i godną pozazdroszczenia posiada »Harvard University« w Cambridge (czytaj: Kembridż): śp. Karolina Haskell Ingersoll zapisała mu przed kilkunasty laty 5 tysięcy funtów sterl. z warunkiem, żeby z procentów tej sumy opłacano co roku jeden odczyt z katedry tegoż uniwersytetu, traktujący o nieśmiertelności duszy ludzkiej; a mianowicie trzy czwarte procentu rocznego otrzymuje prelegent, którym może być człowiek jakiegokolwiek zawodu, duchowny lub świecki, a czwartą część przeznacza się na publikacyę i na bezpłatne rozdawanie odczytu (podobne fundacye byłyby i u nas bardzo pożądane!).

Otóż w r. 1898 wygłosił taki odczyt sławny psycholog, profesor tegoż uniwersytetu William James (czytaj: Dżems). Mamy przed sobą szóste już wydanie tego u nas nieznanego odczytu[1]); którego streszczenie zajmie niewątpliwie czcig. naszych Czytelników.

Prelegent wychodzi z założenia, przyjętego przez materyalistów za pewnik naukowy, że myśl jest »funkcyą mózgu« i zadaje sobie pytanie: czy można na tej podstawie uważać nieśmiertelność duszy naszej za urojenie? — Jako badacz ścisły, jako fizyolog, trzymający się niewzruszonych prawideł logicznych, daje on na to pytanie odpowiedź przeczącą, argumentując całkiem słusznie, że nauka przyrody rozróżnia trzy rodzaje funkcyi: wytwarzającą (productive), zwalniającą (releasing) czyli dopuszczającą (permissive) i przepuszczającą (transmissive). Mówiąc o myśli jako »funkcyi mózgu«, biorą materyaliści wyraz ten w tem samem znaczeniu, jaki on ma w zdaniach: »para jest funkcyą samowara« albo »światło jest funkcyą prądu elektrycznego«, to znaczy, że według nich komórki mózgowe wytwarzają z siebie myśl, podobnie jak gotująca się woda w samowarze wytwarza parę a prąd elektryczny wytwarza światło.

A tymczasem między zjawiskami duchowemi a pracą mózgu może zachodzić także stosunek całkiem innego rodzaju, tj. stosunek »z a w i s ł o ś c i funkcyonalnej«. Cyngiel np. przy kuszy spełnia funkcyę »zwalniającą«: usuwa bowiem przeszkodę, przytrzymującą cięciwę i umożliwia przez to łukowi napiętemu przybrać napowrót postać naturalną. Podobnie młot, który spada na materyę eksplodującą, zwalnia zamknięte w niej gazy i umożliwia wybuch.

Kiedy znów światło przechodzi przez szkło zabarwione albo pryzmat, mamy tu przykład funkcyi »przepuszczającej«. Właściwości tego szkła sprawiają, że energia światła ulega w niem pewnym zmianom. Ale szkło nie wytwarza promieni świetlanych. Podobny zachodzi stosunek między organami, które wydają tony, a powietrzem, które przez nie przechodzi.

Otóż nic nam nie zabrania przypuszczać, że taka zawisłość funkcyonalna istnieje między mózgiem a myślą czyli zjawiskami psychicznemi. Cały świat zjawisk materyalnych może być tylko zasłoną, przykrywającą świat rzeczywistości prawdziwej. Takie przypuszczenie nie jest bynajmniej obce ani rozsądkowi pospolitemu, który wierzy nawet zabobonnie w istnienie świata duchów, ani filozofii idealistycznej, która byt realny, wieczny przypisuje samej tylko myśli. Jeżeli zaś to jest prawdą, w takim razie mózg nasz spełnia funkcyę »przepuszczającą«: on przepuszcza niejako promienie z drugiego świata na ten świat widzialny, — promienie uczucia i poznania.

[1]) »Human Immortality. Two supposed objections to the doctrine (»Nieśmiertelność ludzka. Dwa zarzuty przypuszczone przeciwko tej nauce«) Sixth Edition. London. Archibald Constable. 1906. Str. 126 w 16 ce Cena 1 s.

To jednak światło ulega od czasu do czasu częściowemu albo i zupełnemu przyćmieniu (np. we śnie). Zmiany, zachodzące w mózgu, muszą wywierać wpływ na nasze poznanie, co jednak nie dowodzi bynajmniej, że on to poznanie z siebie wydziela. A kiedy nareszcie mózg ulegnie zniszczeniu, ustają zarazem objawy życia duchowego, ale to nie uprawnia jeszcze do wniosku, że i dusza tego człowieka przestała istnieć. Można pragnąć nieśmiertelności albo jej nie pragnąć, ale w każdym razie nie wolno rozumować w sposób nielogiczny (str. 39).

Ale może ktoś powie, że to są tylko niemądre, fantastyczne przenośnie a przeciwnie pogląd materyalisty jest daleko prostszy i bardziej przemawia do przekonania? Czyż bowiem świadomość nie jest więcej podobną do pewnego rodzaju pary albo elektryczności? Czyż to nie zgadza się lepiej z wymaganiami nauki, kiedy pojmujemy funkcyę mózgu jako funkcyę »wytwarzającą«?

Na to odpowiada słusznie prelegent, że umiejętność ścisła może tu stwierdzić jedynie »zmiany towarzyszące«. Zjawiskom duchowym towarzyszą stale pewne czynności mózgu; kiedy np. coś widzimy lub słyszymy, przechodzą jednocześnie przez materyę mózgu pewne prądy nerwowe. Jeżeli jednak ktoś uważa te prądy za przyczynę zjawisk duchowych, jest to tylko hipotezą metafizyczną; wszyscy badacze trzeźwi, nawet materyaliści, przyznają, że żaden proces duchowy nie da się sprowadzić do jakiegoś procesu materyalnego jako skutek do przyczyny, że nikt nie potrafi wyjaśnić, jakim sposobem z prądu nerwowego powstaje np. wrażenie barwy zielonej albo dźwięk albo uczucie itd. Świadomość i praca mózgowa — są to zjawiska całkiem różnego rodzaju, między któremi żaden pomost nie da się wykryć.

Prawda, że i to, co prelegent mówi o »funkcyi przepuszczającej« mózgu, jest również tylko hipotezą, której nie można udowodnić. Ale za nią przemawiają argumenty bardzo poważne: 1-e zwolennicy jej nie potrzebują przypuszczać, że świadomość wytwarza się ciągle na nowo w milionach mózgów, bo według tej teoryi świadomość istnieje po za zasłoną, zakrywającą nam istotę rzeczy. 2-e Teorya ta zgadza się lepiej z wielu faktami psychicznymi a zwłaszcza z tym, że świadomość nasza obejmuje w pewnych czasach dużo wyobrażeń, które kiedy indziej idą w zapomnienie i nie mogą się wydobyć po nad »poziom« czyli »próg« (jak go nazwał Fechner) świadomości: to można pojąć w ten sposób, że zakres świadomości zmniejsza się, kiedy ona napotka jakieś zapory w mózgu a zwiększa się, kiedy zapory te ustępują (podobnie jak plamy na szkle wstrzymują przebłyski światła).

3-e Za teoryą transmissyi przemawia pewna grupa faktów, z którą teorya produkcyi nie wie, co zrobić: tu należą takie zjawiska zagadkowe, jak nawrócenia religijne, dziwne skutki modlitw, nagłe uzdrowienia, przepowiednie, ukazywanie się osób umierających, jasnowidzenia itd. Kto sądzi, że wszelka myśl ludzka jest funkcya mózgu, ten będzie naprożno próbował wyjaśnić te fakta, które nie dadzą się sprowadzić do wrażeń zmysłowych i wywołanych przez te wrażenia czynności mózgowia. W teoryi zaś transmissyi można je pojmować jako następstwa wpływów, pochodzących ze świata niewidzialnego.[1])

Odpowiedziawszy w ten sposób na pierwszy zarzut, z którym spotyka się dziś najczęściej nauka o nieśmiertelności duszy, przechodzi prelegent do drugiego: Oto wielu nie może pogodzić się z myślą, że nieśmiertelność ma być udziałem nie tylko pewnej ilości dusz lepszych i według naszego mniemania na nią zasługujących, ale także owego niezliczonego mnóstwa istot nie uszlachetnionych kulturą, na pół zwierzęcych, antypatyę budzących. Zarzut ten zbija prelegent argumentem następującym: ci bracia nasi cieszą się wszyscy życiem, równie jak my i pragną nieśmiertelności, w Królestwie zaś Bożem znajdzie się miejsce dla wszystkich.

Jak widzimy z tego streszczenia, nie było zamiarem Jamesa dowodzić ex professo nieśmiertelności duszy ludzkiej. Można więc dużo jeszcze dodać do jego wywodów, jeżeli ktoś chce wyświetlić tę kwestyę w sposób wszechstronny i wyczerpujący. I tak pominął James zupełnie argument, przytaczany przez większość obrońców nieśmiertelności a opierający się na naszem poczuciu sprawiedliwości, które domaga się, żeby cnota otrzymała zasłużoną nagrodę a występek karę w życiu przyszłem, skoro w życiu doczesnem tak często tryumfuje niesprawiedliwość. Co więcej, Jamesowi nie podoba się nawet widocznie ten argument, bo wyraża się irocznie o wierze w kary piekielne (str. 73). Nie wyłuszcza też argumentu, którego dostarcza ten fakt psychiczny, że dusza ludzka pragnie szczęścia zupełnego, którego na ziemi znaleść nie może.

Ale jakkolwiek te i inne braki można wytknąć tej prelekcyi, to przecież warto zapoznać się z jej osnową. Autor bowiem zbija doskonale błędy materyalistów i wykazuje, że wiara w Boga i nieśmiertelność duszy godzi się bardzo dobrze z wynikami, do których dochodzą nauki przyrodnicze.

P.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Zjazd katolików austryackich w Wiedniu.

„Nigdyśmy się jeszcze tak licznie i tak zjednoczeni tu nie zebrali, by niebezpieczeństwom obecnym stawić czoło i podjąć walkę, której nie szukaliśmy, którą nam narzucono.. Wierzę mocno, iż nieprzyjaciele nasi znajdą nas gotowych do podjęcia tej walki przeciw nowożytnemu despotyzmowi, przechodzącemu do porządku dziennego nad wszystkiem, co nam drogie i święte“. Temi słowy hr. Silva-Tarouca, jeneralny sekretarz komitetu zjazdów katolickich w Austryi, otworzył olbrzymi zaiste zjazd, który swą liczbą i wagą osób, w nim udział biorących, zaimponował najzawziętszym nieprzyjaciołom, a katolikom dodał otuchy i odwagi do dalszej a, da Bóg, obfitej w plony pracy.

Poprzednie zjazdy, nie wyłączając nawet ostatniego, który odbył się przed dwoma laty, spotykały się z dość wielkim pesymizmem. Na to złożyły się dość liczne czynniki, których, jak się zdawało, nie można było usunąć.

[1]) Teoryi tej broni także profesor uniwersytetu oksfordzkiego F. C. S. Schiller w książce p. n. »Riddles of the Sphinx« (Zagadki Sfinksa« — London. Swan Sonnenschein 1891).

Organizacye też poszczególnych krajów, zawezwane do współdziałania celem zwołania ogólnego zjazdu, odradzały go lub wprost poparcia odmawiały. Motywowano to tem, iż dotychczasowe próby nie wydały żadnych konkretnych rezultatów, a cały stos uchwalonych rezolucyi widniał tylko jako pium desiderium ubezwładnionych a niezgodą szarpanych kół katolickich. Pod takiemi auspicyami zwołany zjazd katolicki przed dwoma laty zdawał się wielu bezpłodnością podobnym do poprzednich. A jednak tak się nie stało. Poprzednik obecnego zjazdu zaznaczył się nader doniosłymi skutkami i przygotował grunt do obfitej siejby katolickiej. Rezolucye owego zjazdu przeszły w wielu kierunkach w czyn lub zachęciły do czynu zbudzonych ze snu. Tego dowodem zjazd obecny, który znalazł się w zupełnie odmiennej od poprzednich sytuacyi. Przedewszystkiem usunięto fatalną dla katolików austryackich niezgodę. Dzięki połączeniu się stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego z konserwatystami katolickimi stworzono potężne stronnictwo, reprezentowane obecnie w rządzie przez dwóch swoich najtęższych przedstawicieli: Gessmanna i Ebenhocha.

By uniknąć nieporozumienia, zaznaczam, iż bynajmniej nie twierdzę, jakoby sam fakt zamianowania dwóch ministrów o szczerych katolickich przekonaniach był najpoważniejszym momentem w obecnej sytuacyi. Było w Austryi i przedtem w Radzie koronnej wielu mężów, nie tających się bynajmniej ze swemi katolickiemi przekonaniami, ale byli to mężowie, wyniesieni do tej godności faworem korony lub konstelacyą polityczną, nic ze sprawą katolicką wspólnego nie mającą. Teraz inaczej. Ci dwaj ministrowie to przedstawiciele idei katolickiej, delegowani niejako przez swe stronnictwo, by jego ideałów w tym rządzie bronili i żeby je urzeczywistnili. Mają oni za sobą potęgę stronnictwa, do którego haseł przyznają się szczerze i otwarcie. — To też ze słuszną dumą mógł Lueger na pierwszem uroczystem zebraniu zaznaczyć ogromny pod tym względem postęp i wskazać na cały szereg mężów katolickich, którzy w ostatnich latach zajęli poważne w państwie stanowiska i, co najważniejsza, na tych stanowiskach pracują nieustraszenie i wytrwale dla religijno-społecznych ideałów katolickich.

Zjazdy katolickie nie mogą i nie powinny mieć żadnego zabarwienia politycznego, ale trudno zaprzeczyć, iż sukcesy na polu czysto nawet religijnem zawdzięczyć należy prawie wyłącznie partyi obecnie w centrum Austryi rządzącej i trudno też jej brać za złe, że świadomość tego faktu posiada i jej w przemówieniach swych przewódców, szczególnie Luegera, daje wyraz. Nie bez tragicznych reminiscencyi widzieliśmy siwiuteńkiego doradcę niegdyś korony hr. Kazimierza Badeniego, przysłuchującego się na galeryi przemowie Luegera, którego konflikt z Badenim tegoż radom vox populi przypisuje. Patrzał on na owacye, któremi przyjmowano wielkiego iście człowieka, najbardziej dziś w Austryi znienawidzonego przez żydowsko-liberalną klikę, ale też i najbardziej ukochanego przez wszystkich katolików jakiejkolwiek barwy politycznej. Z agitatora o nieco demagogicznym nastroju, stał się mężem, wysoko trzymającym sztandar katolicki.

Nim jednak do właściwego przystąpię sprawozdania, nie mogę pominąć wrażenia nad wyraz niemiłego, jakiego doznałem, przysłuchując się obradom tego zjazdu: Mam na myśli brak wszelkiego czynnego udziału Polaków w tym zjeździe. Nie dawne to czasy, w których na podobnych zjazdach rozbrzmiewały wymownie głosy takich naszych Tarnowskich i innych. Słuchano ich z szacunkiem i zadowoleniem. Dziś inaczej. Prócz dwóch naszych Najprz. XX. Arcybiskupów, nie widzieliśmy ani jednej osobistości naszej czynnej na tym areopagu katolickim. Miałażby przyczyna tego arcysmutnego faktu leżeć w zmienionej sytuacyi politycznej, w której konserwatyści decydującej nie odgrywają już roli? Toby bardzo smutno świadczyło o szczerości katolicyzmu tych sfer. Inaczej postąpiła arystokracya niemiecka i czeska i widzieliśmy np. hr. Thuna, zakutego konserwatystę, gorącego patrona konserwatywnego „Vaterlandu“, biorącego udział we wszystkich posiedzeniach ogólnych i sekcyjnych. Jego katolicyzm nie jest widocznie „za wypowiedzeniem“. Istniał jakiś komitet galicyjski dla sprawy zjazdu, na którego czele stanął ks. Paweł Sapieha, ale ten uważał za stosowne wyjechać w tym czasie do Wenecyi. Jako usprawiedliwienie napisał stamtąd, iż myślał, że go ktoś inny, ponoś p. Wł. Kozłowski, zastąpi. Ten zaś oczywiście myślał przeciwnie; i tak nie mieliśmy wcale przedstawicieli na tym zjeździe. Dziwiono się powszechnie i o przyczynę dopytywano. Na ostatnich dopiero posiedzeniach zauważyliśmy Ekscellencyę p. Abrahamowicza i szefa sekcyi p. Zaleskiego, biorących nieoficyalnie udział w zjeździe. Że nasi obecnie u steru będący demokraci narodowi świecili nieobecnością, to rzecz prawie naturalna. Nie chcieli się poprostu skompromitować jako katolicy. Nasłuchaliśmy się też na konto tej naszej wprost skandalicznej absencyi dużo uwag nieprzyjemnych i to z ust poważnych a nam wielce życzliwych. Telegramy z całej monarchii i katolickiego wogóle świata witały to zrzeszenie się katolików austryackich, brakło tylko polskich. Prawda, były dwa bojaźliwie i nieudolnie wystylizowane od sodalicyi Maryańskich. To wszystko. Nie brakło natomiast telegramów ruskich, przeważnie ze Stanisławowa. Cały szereg stowarzyszeń ruskich, o których istnieniu nawet nie wiedzieliśmy, wysłał gratulacyjne telegramy, a sekretarz zjazdu, usprawiedliwiając się przed zebraniem, że wszystkich, na tysiące liczących telegramów, czytać nie może, znacząco dodał, iż czyni wyjątek dla Rusinów. Zgromadzeni mogli dowiedzieć się z tych głosów o istnieniu jakiegoś Rzymu ruskiego w naszym biednym Stanisławowie. Jest to niezawodnie zasługa X. Biskupa Chomyszyna obecnego także wraz z X. Biskupem Czechowiczem na zjeździe. Więcej o tej bolesnej nie piszę sprawie, choć się dużo gorzkich uwag ciśnie pod pióro. — Przejdźmy teraz po kolei obrady tego szóstego austryackiego zjazdu katolickiego.

Zaczął się on dnia 16. b. m. w Kursalonie miasta Wiednia pierwszem, ukonstytuowaniu się poświęconem posiedzeniem. We wspaniałej ogromnych rozmiarów sali znalazła się, rzec można, cała katolicka Austrya. Widziałeś tam trzech kardynałów, wielu Arcybiskupów, Biskupów, opatów zakonnych, nieprzeliczoną moc duchowieństwa ze wszystkich stron monarchii obok wysokiej arystokracyi, mieszczaństwa i ludu. Pięknym był też widok licznej młodzieży akademickiej w najrozmaitszych barwach t. z. burszenszaftów katolickich. Po kilku strofach wspaniałej muzyki otwiera posiedzenie kilku gorącemi słowy hr. Silva-Tarouca, generalny komisarz zjazdów katolickich w Austryi. Po nim przemawia baron Wittinghoff-Schell, jako przewodniczący dyecezyalnego komitetu wiedeńskiego, człowiek wielkich zasług w czasach najzawziętszej walki, wydanej Kościołowi pod hasłem: „Los von Rom“. Podczas tej przemowy zjawia się burmistrz miasta Wiednia i głowa stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego, powitany długo nie milknącemi owacyami. Kto nie był świadkiem tej owacyi, ten nie może sobie wyobrazić, czem jest dla Wiednia i całej Austryi ten człowiek, zdrowia niestety wątłego, ale wielkiego ducha. Baron Spinette, jeneralny sekretarz centralnego komitetu, wita w imieniu komitetu przygotowującego zgromadzenie. Kreśli on wymowny obraz dotychczasowych walk katolików austryackich z nieprzyjacielem, zorganizowanym najwidoczniej przez framasonerye. Na petycyę rozwodowców z 70000 podpisami lud katolicki odpowiedział protestem blizko pięciomilionowym. W walce o szkołę katolicką odznacza się zapałem i energią niemiecki „Schulverein“, którego rozwój w ostatnich latach jest wielce pocieszający. Robocie loży obecnie najruchliwszej przeciwdziałano licznemi zgroma-

dzeniami, pismami, broszurami i t. p. Że ruch „Los von Rom“ nie przestał być niebezpieczeństwem, tego dowodem liczne w ostatnich czasach przejścia studentów uniwersyteckich na protestantyzm. Ale nie da się zaprzeczyć, iż na ogół niebezpieczeństwo się umniejszyło, i to dzięki energicznemu przeciwdziałaniu ruchliwej „Bonifatius-Correspondenz“, która w krótkim dotąd czasie swego istnienia miała wprost fenomenalne powodzenie.[1]) Organizacyi nauczycielstwa wolnomyślnego przeciwstawiono organizacyę nauczycieli katolickich, organizacyę będącą w fazie bardzo pomyślnego rozwoju. Związek ten nauczycieli katolickich, działający dotychczas tylko w krajach niemieckich, zamierza stać się naprawdę związkiem państwowym i w tym celu interpelowano nas o wskazówki.

W dalszym ciągu swej mowy wskazał baron Wittinghoff-Schell na działalność mężów nauki o przekonaniach katolickich i o stanie akcyi, której celem jest założenie uniwersytetu katolickiego w Salcburgu. Fundusz dotąd zebrany wynosi już przeszło 4 miliony. Nie przepomniał także usiłowań katolickich na polu literackiem i o nowych a wielce obiecujących wydawnictwach, świadczących o postępie i w tym kierunku.

W całej monarchii duch katolicki podnosi się stale, o czem świadczą organizacye nietylko niemieckie ale i czeskie, słoweńskie i t. p. O nas nie wspomniał, bo mimo kilkakrotnych próśb o szczegółowe daty, nikt ich ponoś nie dostarczył. Tak mi przynajmniej mówiono i na to się też kilkakrotnie skarżono.

Tenor ogólny tego ogólnego sprawozdania o pracy katolickiej w ostatnich latach był ten: zrobiono wiele, nadspodziewanie wiele, ale więcej nam pozostaje do zrobienia i w tym względzie liczą na obecny zjazd i impuls przez niego dany. — Po tej mowie, przerywanej oklaskami, w której wspomniał także o przygotowującej się organizacyi kobiet katolickich całej monarchii, przystąpiono do ukonstytuowania się biura. Prezydentem wybrano Dra Wiktora Fuchsa, weterana parlamentarnego i byłego prezydenta Rady państwa, szczerego, dodajmy, przyjaciela Polaków, który w rozmowie ze mną najmocniej ubolewał nad absencyą naszą. Do prezydyum weszło wiele osobliwości wybitnych, reprezentujących całą monarchię. Nie brakło Włochów, Czechów i Słoweńców: z wiadomych powodów nas pominięto. Po tych wyborach przemówił z młodzieńczym iście zapałem zgrzybiały X. Arcybiskup wiedeński, kard. Grusza, uwiadamiając zgromadzenie o nadesłanym na jego ręce liście własnoręcznym Ojca św. który później sekretarz arcybiskupi zgromadzeniu przeczytał. Listu tego, nader łaskawie zredagowanego, zgromadzenie słucha stojąc i przyjmuje go nie milknącymi oklaskami.

Wchodzi na trybunę książę Alojzy Liechtenstein, marszałek krajowy Dolnej Austryi, jeden z najtęższych przewódców i mowców stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego i najserdeczniejszy przyjaciel Luegera. Porównywując dzisiejsze czasy z dawniejszemi z przed laty dwudziestu, podnosi, iż dzięki rozbudzeniu się życia chrześcijańskiego, katolicy z cierpiących stali się tryumfującymi i to dzięki głównie małemu z początku kółku mężów odważnych, na których czele stanął Lueger. Pomału katolicy z obywateli drugiej klasy, których ogołacano ze wszystkiego, którym liberalizm i prasa żydowska odbierała nawet krzyż i modlitwę w szkole, stali się dominującymi. Opanowano po ciężkiej walce Wiedeń, Austryę Niższą i Wyższą, nareszcie, dzięki wyborom powszechnym stworzono potężne stronnictwo, wysoko dzierżące sztandar katolicki.

Po Lichtensteinie przemówił sam Lueger. Nie da się w żaden sposób opisać, z jakim zapałem witano tę dziś najpopularniejszą w Austryi osobistość. Ani się też kuszę podać treści jego przemowy pełnej iście wiedeńskiego humoru. I on wspomina o walkach i zwycięstwach katolickich. Wspomina i o dwóch nowomianowanych ministrach, którzy się sztandarowi katolickiemu nie sprzeniewierzą. Dzięki niezmordowanej pracy katolickiej w Wiedniu mógł Lueger skonstatować, iż tam szkołę ludową przed zamachami nieprzyjaciół zabezpieczono. Tam działają katecheci w harmonii z nauczycielstwem dla dobrego wychowania przyszłego pokolenia. Szkoła średnia nie zupełnie naszym życzeniom odpowiada, ale o wiele lepsza jest dziś od niedawnej. Walka teraz toczyć się musi o uniwersytety. Tam klika żydowsko-liberalna rej wodzi i nie tak łatwo da za wygraną. Jaka jeszcze jej potęga, tego dowodem ostatnie nominacye: na 8 nowo mianowanych profesorów uniwersytetu aż 7-u żydów! Nie spoczniemy, dodaje Lueger, aż stosunek będzie odwrotny! Napiętnował też w ostry sposób prześladowanie słuchaczy katolickich i to na podstawie najnowszych wydarzeń w Pradze i Gracu, przedstawiając we właściwem świetle „kulturalność“ panów liberałów, tolerujących taką ohydę. Sala trzęsła się od oklasków, które, zdawało się, nigdy się nie skończą. Potem na trybunę wszedł Dr. Fehrenbach, przewodniczący ostatniego zjazdu katolików niemieckich w Wurzburgu, wydelegowany na ten zjazd jako reprezentant Rzeszy. Wspaniała postać i świetny mowca; nie dziw więc, że mowę jego owacyjnie przyjęto.

Po nim przemówił przewodniczący Dr. Fuchs, wyłuszczając zgromadzonym wielkie zadanie wiecu.

Na tem pierwsze posiedzenie zamknięto. Bezpośrednio potem odbyło się w hali ratuszowej posiedzenie „Pius-Vereinu“ w sprawie rozwoju prasy katolickiej. O tem jednak w artykule następnym. (C. d. n.)

Ks. J.

[1]) Por. art. p. n. »W obronie prawdy« w Nrze 47 Gaz. Kośc. z r. b. Przyp. red.

Dekrety Kongregacyi.

Dekret św. Kongregacyi Conc. z 6. marca b. r. o udzielaniu komunii św. chorym, nie będącym na czczo[1]) pozwala udzielać komunii św. nie tylko tym chorym, nie będącym na czczo, którzy od miesiąca leżą w łóżku, a o których mówił dekret tejże Kongr. z 7. grud. 1906, ale także tym, którzy, jakkolwiek ciężko chorują i zdaniem lekarzy nie mogą zachować postu naturalnego, to przecież nie mogą leżeć w łóżku, albo też mogą z niego wstawać na kilka godzin codziennie.

Dekret św. Kongregacyi obrzędów z d. 10 lutego b. r. pozwala udzielać *komunii św. w oratoryach prywatnych* tym, którzy otrzymali indult apostolski na urządzenie oratoryum prywatnego, nie pozwala zaś udzielać jej innym wiernym, obecnym w oratoryum, jeżeli niema na to osobnego indultu apostolskiego.

Dekret św. Kongregacyi Odpustów z 8. maja b. r. Ojciec św. nadał odpust 7 lat i 7 kwadragen tym, którzy odprawią pobożnie *nowennę na cześć N. Sakramentu* przed uroczystością Bożego Ciała; odpustu tego mogą dostąpić w każdym z tych dziewięciu dni. Nadto mogą dostąpić odpustu zupełnego w każdym z tych dni, albo w dzień urocz. Bożego Ciała, albo w którymkolwiek z ośmiu dni następujących, jeżeli po dobrej spowiedzi i po komunii św. pomodlą się w myśl Ojca św.

Dekret Kongr. Odp. ogłasza, że Ojciec św. obdarzył 12. lipca b. r. następującą modlitwę św. Anzelma odpustem 300 dni (który ofiarować można za dusze zmarłych), dla zachęcenia kapłanów do pobożnego odmawiania jej p r z e d k a z a n i e m:

„Da mihi, Domine, et mitissimam et sapientem eloquentiam, qua nesciam inflari et de tuis bonis super fratres extolli. Pone, quaeso, in ore meo verbum consolationis et aedificationis et exhortationis per Spiritum Sanctum tuum, ut et bonos valeam ad meliora exhortari, et eos qui adverse gradiuntur ad tuae rectitudinis

[1]) Przepraszamy czcig. Korespondenta, który dopytuje się o te dekrety i wszystkich Czytelników, że spóźniliśmy się trochę z ich ogłoszeniem. Na przyszłość postanowiliśmy dekrety Kongregacyi rzymskich umieszczać zaraz po ich publikacyi w »Acta Sanctae Sedis«. *Red.*

lineam revocare verbo tuo et exemplo. Sint verba, quae dederis servo tuo, tamquam acutissima iacula et ardentes sagittae, quae penetrent et incendant mentes audientium ad timorem et amorem tuum. Amen".

Dnia 8. maja b. r. udzielił Ojciec św. również 300 dni odpustu (który można ofiarować za zmarłych) odmawiającym modlitewkę: *»Veni Sancte Spiritus«*, reple tuorum corda fidelium et tui amoris in eis ignem accende".

Bibliografia.

Broszury o chwili obecnej. Kraków. 1907. Zeszytów XII.

W ostatnich czasach pomnożyła się u nas dość znacznie liczba rozpraw i broszur, napisanych w duchu szczerze katolickim a pouczających szersze koła w sposób jasny, rozumny i poczytny o wielu zagadnieniach naukowych lub sprawach praktycznych. Takiego wydawnictwa bardzo pożytecznego podjęła się także Redakcya „Przeglądu Powszechnego", publikując cały szereg broszur, drukowanych w tym miesięczniku, w formie odbitek osobnych i sprzedając je po cenach stosunkowo bardzo nizkich. Żałujemy, że dla braku miejsca nie możemy cennych tych broszur poddać analizie dokładniejszej, lecz musimy poprzestać na zbyt ogólnikowem ich poleceniu.

X. Arcybiskup Józef Teodorowicz. *„Wobec zbliżających się wyborów w Galicyi*. (Stron 25. Cena 40 hal.).

Tę enuncyacyę J. E. Najprz. X. Arcybiskupa powitaliśmy już z należną czcią i wdzięcznością w Nrze 17. Gaz. Kość. Dostojny Autor wzywa tu gorąco wszystkich katolików do pouczania ludu o związku, zachodzącym między polityką a religią i do energicznej akcyi społecznej. Że zaniedbanie tej powinności sprowadza najsmutniejsze następstwa, tego dowiodły najlepiej właśnie wybory ostatnie do Rady państwa. Niestety sprawdziły się znowu na nas słowa, które czytamy na str. 11 broszury X. Arcybiskupa: „Czynniki zachowawcze są zawsze bardziej leniwe i ospałe już dla tego samego, że się zawsze uważają w stanie posiadania; czynniki zaś wywrotowe muszą dopiero posterunek zdobywać i dlatego rozwijają daleko większą skrzętność i czynność".

Miejmy jednak nadzieję, że w niedalekiej przyszłości katolicy nasi lepiej zaczną spełniać swoje obowiązki w myśl wskazówek dostojnego Autora i innych naszych Arcypasterzy.

Fr. Klimke T. J. *„Spółczesne światopoglądy"*. (Str. 39).

Tytuł ten broszury zniewala mię do zaznaczenia zaraz na wstępie, że wyraz „światopogląd" (tłumaczący niem. „Weltanschauung"), uważam wraz z największą częścią polonistów za nieudały i niepotrzebny nam nowotwór. Lepiej już mówić o różnych „poglądach na świat i życie" i o „systemach filozoficznych" niż takich używać słów, niezgodnych z duchem jęz. polskiego.

W pierwszej części rozprawy roztrząsa szan. Autor pytanie, jakie własności musi mieć pogląd na świat, żeby czynił zadość potrzebom naszego ducha — i odpowiada, że pogląd ten musi być prawdziwy, jasny, jednolity i uzasadniony: „Prawdziwy i w najwznioślejszym tego słowa znaczeniu jednolity będzie ten, który poznawszy istnienie i właściwą naturę ostatecznej racyi wszechrzeczy, umie zaspokoić najistotniejsze potrzeby nasze intellektualne i moralne, umie całości życia naszego nadać jeden pewny kierunek, podnosząc je do odwiecznych, niezachwianych niczem ideałów" (strona 23). W drugiej części ocenia Autor z tego stanowiska najnowsze systemy filozoficzne: Ostwalda, Haeckla, Macha i innych, nie zapuszczając się w szczegóły, bo na to nie pozwalały szczupłe rozmiary, zakreślone temu bardzo godnemu czytania szkicowi.

Ks. Feliks Hortyński T. J. *„Walka o światopoglądy z powodu książki Wasmanna"*. (Kraków 1907. Stron 54. Cena 60 hal.).

W lutym b. r. wygłosił w Berlinie O. Wasmann, członek zakonu, najbardziej tam znienawidzonego, trzy odczyty o ewolucyonizmie. Badacz ten, wysoko ceniony w całym świecie naukowym, a zajmujący się specyalnie mrówkami, jest zwolennikiem teoryi descendencyi czyli rozwoju gatunków. Dzieło jego p. n. „Die moderne Biologie und die Entwicklungstheorie" wyszło w r. 1906 u Herdera we Fryburgu w trzeciem już wydaniu. Po odczytach, w których O. Wasmann wyjaśnił także stanowisko Kościoła wobec teoryi descendencyi, urządzono na ten temat wielką dysputę religijną. Cały szereg badaczy inne wierzących (Plate, Bölsche, Dahl, Friedenthal, Hansemann i inni) do których przyłączył się także znany apostata Hoensbroech, uderzał na wywody O. Wasmanna, zarzucając mu, że jako katolik, a do tego jeszcze Jezuita, nie ma swobody w poszukiwaniach naukowych i dlatego musi być uważany tylko za „dyletanta" (?!)". Prelegent odpowiedział na to w sposób spokojny, rozumny i przedmiotowy, nie mógł jednak z powodu pory bardzo spóźnionej (była to już północ) i znużenia słuchaczy wykazać należycie błędności wygłoszonych zapatrywań, co zresztą i w innych warunkach nie było rzeczą możliwą, ponieważ na to potrzeba obszernych wykładów apologetycznych. W broszurze wymienionej streszcza X. Hortyński te odczyty O. Wasmanna i dyskusyę przez nie wywołaną.

Dr. Włodzimierz Czerkawski. *„Dzisiejsza akcya liberalizmu"*. (Kraków. 1907. Str. 26. Cena 40 hal.).

Jest to krótka i bardzo ogólnikowa charakterystyka partyi, która w imię źle pojętej wolności, rzekomo dla dobra społeczeństwa, wydała wojnę Kościołowi, a teraz widzi sama, że zawiodła ją najzupełniej nadzieja upragnionych tryumfów. Jak niegdyś „kulturkampf" pruski skończył się zupełną klęską liberalizmu, tak dzisiaj przekonał on się we Francyi, że siła moralna Kościoła nie da się pokonać i zniszczyć.

Ks. Jan Rostworowski T. J. *„Liberalny katolicyzm"*. (Kraków 1906. Stron 60. Cena 80 hal.).

Autor mówi o nowych prądach w piśmiennictwie katolickiem, świeżo potępionych w encyklice „O doktrynie modernistów", do której należytego zrozumienia, może poniekąd przyczynić się jego rozprawa. Dziś jednak wymagałby ten temat innego opracowania, uwzględniającego bogatą treść tej encykliki i dekret Kongregacyi, nazywany powszechnie „Nowym Sylabusem".

Ks. Wiktor Wiecki T. J. *„Z polskiego ruchu etycznego"*. *„Czystość"*. (Kraków 1907. Str. 21. Cena 30 hal.).

O dwutygodniku p. n. „Czystość", który zaczął wychodzić w r. 1905 w Krakowie, a obecnie wychodzi w Warszawie, pisał niedawno w Gaz. Kość. X. Dr. Szczeklik (por. rozprawę jego p. n. „Etyka niezależna i t. d." w Nrach 3—7 r. b.), wykazując, że pismo to nie może wywrzeć dobrego wpływu na moralność młodzieży. Do tej samej konkluzyi dochodzi X. Wiecki w swojej analizie krytycznej „Czystości", ponieważ pismo to lubuje się w zbyt realistycznych opisach występków i nieraz wyraża się lekceważąco o etycznych pojęciach chrześcijańskich.

Broszurę O. Klimkego T. J. p. n. *„Teorya parallelizmu psychofizycznego"*. (Kraków 1906. Stron 45. Cena 60 hal.), oceniliśmy już w Nrze 10 Gaz. Kość. z r. b.

Nadto wyszły jeszcze następujące „broszury o chwili obecnej":

Ks. Jan Rostworowski T. J. *„Z nowszych kierunków myśli katolickiej"* (na tle broszury prof. M. Zdziechowskiego: „Pestis perniciosissima"). Kraków 1905. (Wyczerpane).

Ks. A. Condamin T. J. *„Kwestye egzegetyczne w ostatnich dziesięciu latach"*. (Kraków 1906. Str. 34. Cena 60 hal.).

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać.

We czwartek dnia 5. grudnia b. r. odbędzie się wspólna adoracya N. Sakramentu w kościele św. Maryi Magdaleny we Lwowie o godz. pół do szóstej wiecz.

Przeniesiono ks. Antoniego Bobczyńskiego z Uścia zielonego na ekspozyta do Niżborga nowego, a nie do Słobudki dżuryńskiej, jak to poprzednio przez pomyłkę podano.

Ks. Dr. Paweł Jarosiński otrzymał całoroczny urlop celem poratowania nadwątlonego zdrowia.

Dyecezya przemyska ob. łac.

Zmarł w Kalwaryi pacławskiej O. Remigius Duda z zakonu OO. Franciszkanów w 56 r. życia 29 r. kapłaństwa a 34 prof. zak.

Zamianowany ekspozytem w Głębokiem ks. Bartłomiej Rzońca, deficyent.

Przeniesieni: ks. Leon Ziębka, administrator w Ostrowie, na posadę wikarego do Pruchnika; ks. Jan Mróz, wikary w Brzyskach, do Tyczyna; ks. Wiktor Różycki, wikary w Tyczynie, do Bielin; ks. Jan Szurek, wikary w Bielinach, do Brzysk.

Przeznaczony ks. Ignacy Kołeczek po czteromiesięcznym urlopie na posadę kooperatora ad personam w Pnikucie

Uwolnieni od obowiązków parafialnych w celu poratowania zdrowia: ks. Jan Owczarski, wikary w Pnikucie, na przeciąg sześciu miesięcy; ks. Jan Jaracz, wikary w Pruchniku, na przeciąg trzech miesięcy.

Zakład artystyczny dla budowy ołtarzów i rzeźby Józefa Oblettera w St. Urich-Gröden (Tyrol) poleca się Przewiel. Duchowieństwu. — Cenniki na żądanie gratis i franco.



J. WYPASEK

we Lwowie
ul. Krakowska 8.

poleca Wielebnemu Duchowieństwu swoją odznaczoną medalami srebrnemi

Pracownię brązowniczą

i skład wszelkich przedmiotów i przyborów kościelnych własnego wyrobu

ze złota, srebra, chińskiego srebra (alpaka), bronzu itd. wykonanych trwale, gustownie, po cenach najumiarkowańszych.

Najładniejszy wybór: Chorągwi, Welonów, Monstrancyi, Relikwiarzy, Kielichów, Puszek, Pająków, Lamp, Żelazek do pieczenia opłatków.

Zakład rzeźby artystycznej

WOJCIECHA SAMKA

W BOCHNI

odznaczony medalem na wystawie krajowej we Lwowie 1894 r.

i złotym medalem na wystawie w Tarnowie 1905.

wykonuje **figury Świętych z drzewa**, wobec których nie potrzeba sprowadzać wyrobów zagranicznych, **ołtarze, feretrony** i wogóle wszelkie roboty rzeźbiarskie. **Figury Świętych przy drogach i pomniki** z kamienia, marmuru i granitu. Przyjmuje wszelkie odnowienia i reperacye.

Na żądanie wykaże się licznemi świadectwa WW mi Duchowieństwa i pp. Architektów.

Celem przekonania się, że wyroby moje są lepsze od zagranicznych proszę zrobić zamówienie. Nie brak nam rąk do pracy, niechże więc grosz zostanie w kraju zamiast wędrować zagranicę.

Do W-go Pana Wojciecha Samka w Bochni.

Chętnie poświadczam, że Figura Matki Boskiej Łaskawej z kamienia pinczowskiego wysokości dwóch metrów, ustawiona na piedestale około 3 metrowym, która zdobi podnóże góry kościelnej w Wilczyskach, wykonaną została w pańskim zakładzie rzeźby artystycznej. Sumiennem wykończeniem całości i pomysłem artystycznym zasłużył sobie Pan na szczere uznanie.

Wilczyska, 14. listopada 1907.

Ks. Artur Jarmulski w. r.

Żelazka do pieczenia opłatków.

W. Kuczabiński, Lwów

przenosi

skład przedmiotów kościelnych

z ulicy Kopernika l. 2.

pod l. 3. —— **pod l. 9.**

(przy tej samej ulicy).

Figurki różnej wielkości do szopki.

Julian Kruczkowski artysta malarz

Lwów — ulica Batorego l. 26.

Maluje: kościoły, kaplice, obrazy do ołtarzy i t. d.

Dostarcza: do kościołów i kaplic stylowe okna żelaznej konstrukcyi z kolorowem oszkleniem, posadzki mozaikowe i t. d.

Rysunki i szkice według własnego pomysłu wykonane przedkłada w razie otrzymania zamówienia bezpłatnie.

Założona w r. 1892

Pracownia haftów art. i szat liturgicznych

pod wezw. św. Antoniego

w Tarnowie, ul. Krakowska

poleca własnego wyrobu: szaty liturgiczne, bieliznę kościelną, sztandary dla Stowarzyszeń, hafty salonowe i t. d.

Przyjmuje naprawę tychże. Wykonanie staranne. Ceny możliwie najniższe. Cenniki na żądanie.

Nakładem Sodalicyi Maryańskiej Panów we Lwowie

wyszła nader praktyczna książeczka:

„Módl się"

opracowana przez **X. Alfreda Wróblewskiego T. J.**

zawierająca modlitwy nowe, udarowane odpustami Ojca św. Piusa X. — ozdobiona cennemi rycinami (Matka B. Pocieszenia, ukoronowana).

Ułożona dla członków Kongregacyi Maryańskich — nadaje się jednak dla całej inteligencyi obojga płci.

Zamówienia franco. Adres: **Sodalicya Maryańska Panów, Lwów, ul. 3. maja l. 4.**

Nabywać można nadto przy furcie XX. Jezuitów i w sklepie W. Zborowicza (ul. Sobieskiego l. 1.). Cena egz. oprawnego w skórkę Kor. 3—, oprawnego w płótno Kor. 2—.

Siostry Felicyanki

przy ul. **Żółkiewskiej L. 86.** — utrzymują

szwalnię kościelnych robót

i wykonują ku zupełnemu zadowoleniu Duchowieństwa wszelkie roboty w zakres kościelnych robót wchodzące, a mianowicie: kapy, ornaty, chorągwie, sztandary, tuwalnie, stuły, sukienki na puszki, bursy, piękne krzyże do ornatów złotem lub jedwabiem haftowane, również alby, komże, obrusy i szlaki, paski, bieliznę do kielicha i t. p. rzeczy **po cenach bardzo umiarkowanych.**

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks. Dr. Aleksander Pechnik.

Z drukarni katolickiej J. Chęcińskiego, pl. Bernardyński 2.